

Adrian Gleń

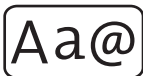
Ruiny i dobro bycia (wyimki z niecodziennika)

Autobiografia. Literatura. Kultura. Media nr 2 (7), 107-114

2016

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



ADRIAN GLEŃ

Ruiny i dobro bycia (wyimki z niecodziennika)

1.

Czytając zapisek Eliasa Canettiego z *Prowincji człowieka* o dobroci, która wybiera mowę i człowieka, przypomniałem sobie naraz młodzieńczy „wiersz”, wypowiadający nieśmiało i ułomnie intuicję, jakiej mimo upływu lat (prawie ćwierćwiecza), po wielu lekturach, pozostając wierny. Zadziwiające, w jednej chwili otwarły się śluzы pamięci i te, dawno zapadłe (nie zdawałem sobie nawet sprawy, że pamiętałem kiedyś tych kilka słów), frazy wypłynęły gładko na powierzchnię, na światło:

mam lat 17
to mniej więcej
tyle co świadomość
ktoś pali mną w piecu

ale czyż można wyśnić
sobie piękniejszy koniec
może właśnie ogrzałem
czyjeś zmarznięte dłonie

Aluzja do wiersza Tadeusza Różewicza, wiążąca demony historii ze śmiercią niepotrzebnego nikomu „poezjowania”, literę z duchem, ciało z pismem, co dostrzegam w tych ubogich słowach, w zdumiewający sposób zawraca mnie do myśli o służbie językowi, a przezeń – Byciu i Drugiemu. Nawet, gdy język ten miałby się wyrzekać, osuwać, wymykać, gdy zostaje zniweczony i ubity.

Patrick Declerck we wspaniałej (ach, właśnie, jakimi słowy ją określić?...) książce o paryskich kloszardach zaciągających się dobrowolnie na galerników Charonowych łądzi powie o swojej pracy pisarskiej: „niech tych kilka stron pozwoli im się ogrzać”. Pozostaje myśl o trudzie, wysiłku zrozumienia innego człowieka, próbie zawiązania kruchej wspólnoty, na przekór rozpaczy. Nawet jeśli nie staje już języka. I poetyka gnije się i ginie. I gnije.

Trud wielki, jak ich skoki w ciemność.

2.

Byłem daleko. Doszedłem do miejsca, z którego można było już tylko zawrócić. Droga, podczas której odmieniasz wszystkie znane ci określenia kresu. Końca, kapitulacji, rejterady. Ta cienka szczelina, linia, granica niksująca w oczach. Nic nieledwie, dzieląca – jeszcze dzieląca – byt i nic. Byt od nic.

W H.-im, nieistniejącej osadzie wysiedlonych, ruiny cerkwi zjadanej przez czas, czyli nicość. Jej forpoczty – oset, pokrzywa (ale także łopian, dziewanna i malina) szczelnie przykryły kamień na kamieniu, który ostał się po świętej budowli. Że było tu sioło, znać jedynie po zdziczałych gruszach, które – jak starcy – chylą się ku ziemi wśród sosen, na tle silnych buków. Ich popękana skóra we wszędybolskim zielsku bluszczy. W Zieleni – kolorze niczego. Natury.

Tu wszystko się plecie. Głos cykady zdaje się odgłosem cyklisty. Ludzkie jest tylko wypatrywanie śladów. Nauka zanikania, spektakl ubywania. Było i nie jest. Jest tylko zbieranie, rejestr. Rachuba – dopóty ślad bycia trwa, dopokąd kamień na kamieniu złożony.

3.

Macewy w L.-ach. Kładę kamyk na tej, która jeszcze stoi. Teraz są dwa. Bo szlaczki jidisz wyżarła erozja.

4.

Coś się odblokowało. I pisze się. Skąd ten pęd? Z jeszcze-bycia? Z pragnienia? Zatem z Natury? Która jest Czasem? Czyli nicością?

Pochłanianiem.

5.

Kultura to wiązanie. Soli fosfatów. Betonu i cegły, drewna i gwoździa. Natura zaś upartym, bezrozumnym, dzikim [...]. *Ad infinitum, ad absurdum.*

6.

Taka ruina, o której wszyscy zapomnieli i nikt nie widzi już w niej żadnej wartości. Dlaczego do niej gnam? Co ciągnie mnie do tych wszystkich pozamykanych przed laty hoteli, fabryk, walących się, zapomnianych przez Boga i ludzi, chałup? I co sprawia, że po stokroć wolę je obchodzić, oglądać, zatrzymywać się w nich, aniżeli wygrzewać się na nadmorskiej plaży, spacerować po deptakach znanych kurortów, pływać, latać, skakać na bungee, słowem – miło, brr!, „spędzać wolny czas”?

7. Stara fabryka płyt wiórowych (Nida)

Nie wiem, czy to miejsce tak jeszcze wygląda. Byłem tam już dobrych kilka lat temu (bodaj w roku 2006). Skok przez płot wykonałem nienagannie, aparat wprawdzie wysunął mi się z ręki, ale wylądował w kupie zielska, która zamortyzowała upadek.

Najpierw błędzenie. Kilka fabrycznych hal, które są już jedynie geometrycznymi bryłami. I niczym więcej. Przerażliwe przeciągi, wiatr jest niemal namacalny, zaciska moją twarz w sieci grymasu, choć to przecież lipiec.

Staję na środku podstawowej kondygnacji, ogromnej, prostokątnej sali, w której nie ma nic... Albo raczej: jest NIC. Jestem we wnętrzu czegoś, co dawno przestało pełnić jakąkolwiek funkcję i teraz, uwolnione od zadań i znaczeń, stanowi czystą formę, gigantyczne pudło próżni. W jednej chwili znajduję się w innej rzeczywistości, w której czas – jak w prymitywnych społecznościach starożytnych – mierzony być może jedynie przesuwanymi się po płaszczyznach smugami jasności i cienia. Przestrzeń matematycznej światłości. Monochromatyczna. Wyzwolona z tego, co nieistotne. Cała w sobie złożona z linii, okręgów. Układających się w elementarne figury. (Przypominam sobie pierwszych filozofów pochodzących z greckiej Jonii, którzy siłą swojego umysłu przedzierali się ku niewidzialnej, abstrakcyjnej zasadzie świata, owej *arche*, odrzucając barwy, smaki, zapachy... Zapatrzony w oko atomu Demokryt, przesypujący dłońmi kryształki piasku uśmiecha się do mnie, kiedy odczuwam ziarnistość swojego istnienia – ja, ta drobina w kosmosie sfer). To miejsce jest niczym i wszystkim. Doskonałym punktem, do którego już niczego nie trzeba dodawać, który rozwinąć się może w cokolwiek, stać się wszystkim. Z tego odarcia, zniszczenia w każdej chwili może narodzić się jakiś boczny świat. Ze światła.

Wyciągam aparat. Mam poczucie, że moje oko potrzebne jest tej przestrzeni. Że mogę uczestniczyć w rzadkim spektaklu ciszy, w którym główne, a właściwie jedyne, role grają cienie kładące się cierpliwie na odrapanych ścianach. Światło i mrok – przemieniają z nagłą ruinę w idealny świat geometrycznej kompozycji.

8. Żarnowiec (nieczynna, a właściwie niedoszła elektrownia jądrowa)

Widziana z daleka. Bo raczej nie da się tam wejść (siatka wysoka jest na blisko trzy metry, z jakiegoś powodu pełno tutaj psów i ochroniarzy). System jakby bunkrów, które rozsiadły się na północnym brzegu żarnowieckiego jeziora. Wokół tylko piach i żwir. I setki malutkich, bielusieńkich skorupki ślimaków, przedziwne...

W tym pustynnym krajobrazie ogromne wrażenie na mnie robią posklejane ze sobą wielkie bryły betonowych bloków, w które powtykane są niezliczone ilości metalowych żerdzi. Gdy zbliżyć do nich oko obiektywu, przesłaniają całkowicie dookólny pejzaż. Wrastają w stalowe niebo, strzępiąc je drucianym grzebieniem.

Smutek konstrukcji, która przenicowała samą siebie, przeraża mnie. Jakże szalony jest ludzki umysł! Wznosimy monstrualne budowle, aby je porzucić, zainfekować nimi naturę. Wielkie płyty z ogłupiałą głębą spoglądają na spokojne wody jeziora, szczerzą swoje żeliwne zęby w oczekiwaniu na wskreszenie, które nigdy nie nastąpi. Nasze dzieła, obce nam samym, niezrozumiałe, niedokończone – czyż nie powinny dawać nam do myślenia o naszej małości? Są niemym, niezmiennym w swym wyrazie wyrzutem sumienia.

Wracam do samochodu. W lustrze wody obmywającej brzeg dostrzegam jeszcze raz odbijające się, sterczące kikuty ścian. Obraz faluje. Miraż naszej wielkości.

9. Hotel pracowniczy (Nadole k. Żarnowca)]

Byłem w tym miejscu dwukrotnie. Kiedy ujrzałem tę budowlę po raz pierwszy, była ona jednym z największych w Polsce hoteli, przeznaczonym pierwotnie dla pracowników, którzy mieli zostać zatrudnieni w żarnowieckiej elektrowni. Gdy stało się pewne, że ta nie powstanie, hotel został sprzedany prywatnemu inwestorowi. W miejscu tym wielokrotnie organizowane były turnieje szachowe. Na jednym z nich właśnie miałem przyjemność być i wówczas (prawdopodobnie był to rok 1997) gościłem w owym hotelu.

Składał się on z kilku (jeśli nie kilkunastu) skrzydeł, każde kilkupoziomowe, z siecią labiryntowych korytarzy. Te korytarze były niepokojące, olbrzymie prostopadłości, zupełnie puste, na podłodze typowe dla późnego Peerelu dywaniki (jakie zwykło się spotykać i dziś w niektórych urzędach). Mimo iż spędziłem w tym miejscu blisko dziesięć dni, nie byłem w stanie zorientować się w przewrotnej topografii hotelu. Wszędzie wisiały wprowadzające instrukcje z wyrysowanymi starannie planami budynku, ich studiowanie jednak wydawało mi się sztuką dla wtajemniczonych, korytarze na mapie rozwidlały się, zapętlały, nachodziły na siebie, tworząc świat na opak, chaos, w którym nie sposób było poruszać. Za każdym razem, gdy stawałem przed tablicą o wymiarach dwa metry na dwa, dostawałem zawrotu głowy, czułem w gardle uporczywą suchość i wiedziałem już, że będę skazany na

długie, upiorne wędrowanie po omacku (przede wszystkim, choć owych planów widziałem na różnych piętrach hotelu kilkadziesiąt, na żadnym z nich nie było oznaczonego miejsca, w którym aktualnie się znajdowałem).

Był listopad, nikłe światło dzienne zdawało się w ogóle tu nie docierać, olbrzymie okno, które wieńczyło każdy korytarz, widziane z drugiej jego strony, zdawało się zaledwie wentylacyjnym lufcikiem. Półmrok panował tu więc o każdej porze.

Pamiętam też, że prawie czterysta osób, które brało udział w turnieju, było prawie niewidocznych... Ludzie gubili się gdzieś w płataninie korytarzy, w pancernych pokojach i widywało się ich nagle, zgromadzonych tłumnie, na turniejowej sali czy w hotelowej restauracji. Jak zjawy, które naraz zmaterializowały się, wcześniej nieobecne, w jednym miejscu.

Dziesięć lat później widok hotelowego frontonu znów wprawił mnie w zdumienie. Tym razem jednak poprzez obraz tego, co z niego pozostało...

Teraz światła było już zdecydowanie więcej! Światłne plamy kładły się na zmianę z łachami cienia, tworząc symetryczne mozaiki. I nagle odkrycie: oto lekcja kubizmu. Rzeczy odsłaniają się w jednej chwili z wielu stron, nalegają, aby je obchodzić, bawić się ich nakładającymi się nieustannie na siebie płaszczyznami. Korytarze uczyły zasad perspektywy, zapraszały do wszystkich swoich wymiarów...

10.

Od kilku lat, za sprawą świadomego wyboru, mieszkam na podopolskiej wsi. Lubię, czując wciąż swoją obcość (tak, długo zapewne będę tutaj obcy, więcej, mam nawet taką nadzieję, że moja „polskość” zawsze będzie tutaj wychwytywana, widoczna gołym okiem; jeśli ja będę obcy, znaczyć to będzie, że wioseczka pozostaje nadal „śląska”), przemierzać i odkrywać miejsca, które tutejsi mieszkańcy pozostawili na marginesie własnego świata, porzucili w zatroskaniu o codzienność.

Jednym z nich jest położony w sąsiedniej wiosce kompleks zabudowań będący pozostałością po założonej przez króla pruskiego Fryderyka II hucie żelaza (celowo nie lokalizuję tego obiektu, jego dzisiejszy stan winien być powodem i do wstydu, i do natychmiastowego działania władz gminy, aby zrujnowaną odlewnię i młotownię uczynić na powrót muzeum techniki, ale nie mnie w tym miejscu apelować do sumień decydentów; poza tym jestem rozdarty w tej mierze przez moją skłonność do estetycznych ruin...). Niszczące budynki co rusz przestają, nie wiedzieć dlaczego, otaczać ogrodzenie i miejsce to zdaje się zamknięte na oścież...

Nie tylko ja przekraczam nieistniejącą granicę. Oto dwóch chłopców, dla których najwyraźniej miejsce to stanowi centrum wszechświata zabawy, spłoszonych moim najściem, pospiesznie oddala się. Starszy jeszcze przez moment się waha, patrząc w stronę, gdzie zaczyna się

linia traw, w których za chwilę zniknie jego braciszek. Ale i on wymknie się z kadru, opuści tajemniczą przestrzeń, strach, zarówno przed pozostawieniem młodszego bez opieki, jak i pozostaniem samemu, weźmie górę (następny kadr, którego nie udało mi, niestety, uwiecznić przedstawia twarz owego starszego chłopca ze ściągniętymi policzkami i wyciągniętym z dezaprobatą w moim kierunku językiem...). Teraz jednak, w tym ujęciu, które rozciąga się w nie-skończoność mojego oglądania, jego splecione rączki i skrzyżowane nogi stanowią obraz zagubienia, dziecięcej rozterki i lęku przed rozdzieleniem.

A wewnątrz... Muzeum zmienione w graciarnię. Uporządkowane dłonią historyka przedmioty w spójną kolekcję, którą wystawiano w celu odtworzenia działania narzędzi, jakby rozpierchły się nagle, pogubiły swoje imiona i więzi je łączące, dziwią się swojemu sąsiedztwu, pragnąc zachować względem siebie odrębność i autonomię. Każde narzędzie, mówi filozof, jest rzeczą, kiedy „jest poręczne i niezawodne”, zdolne i gotowe do użycia, nastawione siłą naszego technicznego namysłu na określone działanie. Te oto rzeczy naraz przestały być sobą, nieumyślnie uwolnione od krępujących je funkcji. Ustawioną przy wejściu machinę ogarnia postępujące zdumienie, iż przyszło jej pełnić honory *majordomusa*, wstydliwie stara się przeto ukryć własne niedoskonałości, ni to kłękając, ni to kłaniając się grubymi i chudymi, drżącymi z napięcia przed niespodziewanymi gośćmi, kolanami. Porzucone pośrodku „koryto” (nie mam pojęcia do czegoż mogła służyć owa rzecz i na jaką nazwę sobie w swoim czasie zasłużyła...) nie wie, co odegrać w samym sercu sceny: być wanną, kołyską czy może trumną?

Byłoby piękne studium przedmiotu, gdybym potrafił opisać to przedziwne miejsce, wykreślić mapę, upleść sieć znaczeń, jaka łączy teraz te wszystkie rozrzucone kapryśną ręką demiurga (w tej roli, bardzo możliwe, miejscowi kloszardzi...) „narzędzia”, które uspione i zapomniane oczekują na wielki renesans. Ale nie znam tajemnego kodu, zasad metafizycznej kartografii, mam tylko przedłużenie mojego banalnego oka – aparat, który ściga niepewne w swoim byciu przedmioty. Ściga i zatrzymuje, choć tak naprawdę one już się poddały, z rozdziawioną buzią czekają, aż ktoś wybawi je z kłopotliwej roli w teatrze absurdu, podniesie z powrotem do istnienia. Bo teraz balansują na krawędzi żywota, mogą być wszystkim (są niczym, czystą potencjalnością), w zależności od światła, które – kapryśne – kładzie się na ich zimnych ciałach. A one cierpliwie odbijają rozmaite strumienie jasności, odmawiając współpracy, zamieniając się w lustra, zapraszając nieustannie w głąb nicości. Nie chcą grać, chcą służyć – jak kiedyś. Pokrywają się więc szczególnie świetlistym kirem, kiedy szaleje cyklon mojego oka...

Mam odejść z niczym, słyszę, jak wszystkie chore sprząty (czy zjawi się tutaj jeszcze kiedyś ów słynny dziwak z magicznym środkiem – unijnym – o nazwie: „rewitalizacja”?...), sprzy sięgają się za moimi plecami, aby niczego więcej już nie pokazywać, aby zasłonić wreszcie kurtynę światła. I w żaden świat (uczył ksiądz Józef Tischner: „patrzmy! bo w naszym języku świat świeci”) przed uzbrojonym okiem człowieka już się nie układać.

Przyląpuję więc na odchodnym, zły i rozżalony, „okno na piasku”. Ziarna ostatnich światel przecięte ramą pozostającego poza kadrem „prawdziwego” okna. Lecz słyszę – kiedy zachwycony milknę przed ujawnionym z nagłą, szczodrobliwą dłonią tego miejsca, obrazem – „oto masz co chciałeś!”. Rozbłysł nicości – twoje żniwo, fotografie! Zamknij go sobie w czarnej skrzyni oka¹.

Owszem, zamykam to zdjęcie granicy bytu i nicości, które być może splecione są tak szczelnie, iż nikt ich nie rozdzieli. Świadectwo tego, że przemijamy i nic trwałego pod słońcem... Ale to ironiczne dzieło, samo zarażone zniknięciem, daje mi trwałą (dopóki będzie oglądane), wgląd w istotę świata: kruchość tego, co się nigdy nie powtarza.

A przynajmniej ja tak chcę o tym opowiadać...²

11.

Rowerem do Okołów. Wjeżdżamy leśną drogą (odbijając w prawo za przystankiem PKS z szosy łączącej Murów z drogą Opole – Namysłów), mijając małą wydmnę i gospodarstwo z licznymi pastwiskami. Przez mostek nad wijącą się tutaj leniwie Stobrawą. Do ruiny dawnych zabudowań, wśród których górował niegdyś młyn. Po tym, jak uda się wreszcie utorować drogę z piętrzącego się zawsze już o tej porze roku zielska, zaczynamy błędzić po kilku pustych „pokojach”.

Gdy stajemy na piętrze – jakież to dreszcz niesamowity towarzyszy wejściu na próchniejące schody, dokąd wiodące? – uderzają obrazy okien. Dosłownie! W okiennych (ale czy na pewno „okiennych”? czy okno jest jeszcze oknem, kiedy nie chroni, a jedynie otwiera widok, pozbawione szyb i klamek?) ramach staje nagle świat. Obrysowany, jak na malarskim płótnie, drewnianą granicą ramy. Na pierwszym obrazie pobliski budynek (kiedyś zapewne

¹ Pamiętają Państwo „obsesję przezroczywości”, która wydarzyła się Markowi Bieńczykowi? Od czego się wzięła? Od obrazu najpierwszego – zapamiętanego z wczesnego dzieciństwa, narysowanego przez słoneczny blask na ścianie „żółtego kwadratu”, metafory, praobrazu przezroczywości. Wszelkie pisanie, biorące początek od owej potwornej – bo geometrycznej? – jasności jest zakreślaniem kręgów wokół nicości. „[...] czysty byt i czyste nic – pisał po lekturze książki Marka Bieńczyka Michał P. Markowski – są tym samym [...] świetlisty kwadrat na ścianie [...] wzywa nie do pisania, nie do szukania zgrabnej metafory, ale do świata czystego, przejrzystego, nieobecnego [...], poza dotykiem i – niestety – poza czułością” (Michał P. Markowski, *Życie na miarę literatury. Eseje*, Kraków 2009, s. 373). Nicość odbita na fotografii również paraliżuje, każe nieustannie wpatrywać się weń, aż do zawrotu głowy, aż do mdłości.

² W tym sensie widzę fotografię nie jako autonomiczną sztukę (nie ma to jednak w moim przekonaniu żadnego deprecjonującego dla fotografii znaczenia), lecz jako grunt, na którym wspierać się może opowieść, która podtrzymuje i rozwija istnienie fotograficznego obrazu. Gdy chcemy zaś absolutyzować jego status ontologiczny, trzeba by faktycznie przyznać, jak uczynił to Barthes, iż zdarzenie „uwiecznione” na fotografii „nigdy nie wykracza poza siebie ku innej rzeczy; zawsze sprowadza ona zbiór, którego potrzebuje, do rzeczy, którą spostrzegam. Fotografia jest Istnieniem Poszczególnym w sposób absolutny, najwyższą Przyległością i Przypadkowością, niewyróżniającą się i jakby głupią. Jest *tym właśnie* [...]” (Roland Barthes, *Światło obrazu. Uwagi o fotografii*, przeł. Jacek Trznadel, Wydawnictwo KR, Warszawa 1996, s. 9).

stajnia lub chlewnia...) jawi się niczym dziewiętnastowieczna chata, jakie spotkać można dziś jeszcze tylko w skansenach. Pobielone ściany, dach, zda się, jakby kryty strzechą – włożone w ramę – nabierają cech rodzajowego obrazka, który tyle co wyszedł spod ręki jednego z mistrzów malarskiego realizmu. W drugą ramę wkracza żarłoczna natura, pleniąca się niemal na naszych oczach zieleń chmielu, jak zapatrzona w siebie tancerka, chce przesłonić całą rzeczywistość. A nawet więcej – przebija blejtram portrecyści i buńczucznie wysuwa swoje macki poza jednowymiarowe płótno...

Odmykamy kolejne drzwi, jak bohaterowie *Niekończącej się historii* albo *Opowieści z Narnii*, niepewni, co odnajdziemy za następną odsłoną. W jaki spektakl złożą się światła i cienie? Jakie jeszcze światy otworzą się za następną kurtyną z kurzu wirującego na słupkach słońca?

Ruina. Pozornie wszystko tu się skończyło, przestrzeń wydaje się martwa. Ale za sprawą naszego wejścia w jej obręb, choćby na chwilę, miejsce to – jak każda inna ruina – może się przeistoczyć. W co? To zależy od tego, co ze sobą przyniesiemy. Ale właściwie wystarczy jedynie zamknąć oczy, trzymając mocno pod powieką wielkie puste sale, a powstać w nich może absolutnie każda opowieść.

11.

Dzisiaj nagle się okazało – wprawdzie jeszcze niejasno, jak ujawnia się poranek zimą, przeczuwanie prześwitu o szóstej piętnaście w styczniu, więc niejasno, ale jednak – skąd może brać swój początek fascynacja ruinami. Wszedłem do zmaltretowanego Czasem zamku w Łące Prudnickiej (trzeba by przeczytać, kto tam w swoim czasie gospodarował), długo błądziłem labiryntem korytarzy, przyglądając się jak zawsze bezmiłosiernie odrapanym ścianom, łuszczącej się farbie, cudem ocalałym, drewnianym rzeźbieniem sufitu, pełgającym światłem, kontrastom cieni. Czemu jeszcze? Samosiejkom, bluszczom przebijającym blejtramy wybitych okien. Wszystkiemu, co niszczy. I wszystkiemu, co niszczy. Truposzom ludzkiego i pasożytom matki natury. Temu, co żyje. I temu, co jest zżywane, wyzuwane z resztek życia.

I na co temu wszystkiemu moje (uzbrojone po pióro) oko? Po co kadry wycinane z tej fugi śmierci?

Bo służyć w szwadronie życia. Bo odciskam swój żywotny sprzeciw. Upominam się o zmarłych wstanie.

2010–2015

PROSIMY O CYTOWANIE TEGO ARTYKUŁU JAKO:

Adrian Gleń, „Ruiny i dobro bycia (wymyki z niecodziennika)”, *Autobiografia. Literatura. Kultura. Media* 2 (7) (2016): 107–114. DOI: 10.18276/au.2016.2.7-07